

Bujara Krzysztof

Błogosławieństwo piekieł

Z „Science Fiction” nr 5 – czerwiec 2001

Szeryf Aldo Dexter zdążył dojść do położonej obok prefektury stacji kolejki magnetycznej, gdy w kieszeni jego płaszcza rozdzwonił się radiotelefon. Westchnął, odłożył na chodnik torbę z zakupami i wyjął aparat. Na obudowie urządzenia migotała czerwona dioda, sygnalizująca połączenie na kanale awaryjnym.

- Tak, sir? - Tylko jeden człowiek w prefekturze korzystał z pasma alarmowego. Sędzia Mikael Creed.

- Gdzie jesteś?

- Dwadzieścia metrów od bramy prefektury.

- Dobrze, wracaj szybko. Dzisiaj się nie wyśpisz.

- Z ostatnich pięciu nocy przespałem dwie.

Służba dla dobra społecznego wymaga poświęceń, Aldo, ale Imperium ci tego nie zapomni - roześmiał się ironicznie sędzia.

- Do czasu następnej wypłaty, sir. Co się dzieje?

- Kwadrans temu w biurach fabryki pod wezwaniem św. Cypriana znaleziono ciało szefa ochrony kompleksu, Revena. Ofiara nie ma obrażeń zewnętrznych, ale zakładamy zabójstwo. Ktoś uszkodził rejestry monitoringu wizualnego i usunął z terminali pliki objęte klauzulą dostępu "Purpura". Gubernator wpadł w panikę, bo ta dokumentacja ma kluczowe znaczenie dla przemysłu zbrojeniowego. Ludzie ze służby bezpieczeństwa są już na miejscu. Mamy czekać na wyniki odczytu modułu ochrony i identyfikację intruza. Po jej potwierdzeniu wchodzimy do gry. Wracaj szybko.

- Tak jest. sil. Dexter wyłączył radiotelefon i spojrzął na chronometr. Dochodziła północ.

* * *

Mężczyzna w szarym kombinezonie technika spokojnie minął idący tym samym chodnikiem policyjny patrol. Arbitratorzy przesunęli po nim obojętnymi spojrzeniami, zatrzymując wzrok na przypiętej do piersi plakietce identyfikacyjnej. Kiedy oddalili się na kilkanaście metrów, technik z ulgą wypuścił z płuc wstrzymywany oddech. Spojrzął ostrożnie przez ramię, jakby chciał się upewnić, że nic zawrócili jego śladem, po czym skręcił w boczną uliczkę prowadzącą do stacji kolejki miejskiej.

Uczucie triumfu walczyło w jego umyśle z głębokim żalem. Nie tak miało się stać. Zniszczył te przekłete pliki, uratował życie Seleny, ale nikt nie musiał ucierpieć. Tamten człowiek pojawił się niczym duch w chwili, gdy palce wskazujący technika zawisł nad przyciskiem Delete. Powtarzał sobie uparcie, że nic miał wyboru. Życie za życie. Głowa pulsowała mu boleśnie, przypominając o zbrodni, którą popełnił. Nie lubił korzystać z Daru, zbyt wiele cierpień przysparzało mu sprawowanie kontroli nad rozpalonym umysłem. Nic chciał zabijać tamtego człowieka, ale jego jaźń okazała się tak delikatna, tak podatna...

To był wypadek. Selena na pewno to zrozumie.

Selena. Uśmiechnął się na myśl o dziewczynie. Widmo wiszące nad ich głowami przepadło z chwilą zniszczenia bluźnierczych dokumentów. Selena przysięgała, że pliki w centralnym terminalu fabryki są jedyną kopią tajnego rządowego rejestru. Niszcząc je, zatarł ślad istnienia dziewczyny. Choć jego ciekawość dręczyły pytania, nic zadawał ich wiedząc, że nie otrzyma odpowiedzi. Skąd znała kod dostępu do terminalu, rozkład patroli strażniczych, miejsca instalacji kamer? Nie przewidziała tylko obecności poruszającego się bezszelestnie mężczyzny z identyfikatorem szefa ochrony obiektu na piersi. Przypadek zmusił go do czynu, którego teraz żałował.

Selena na pewno mu to wybaczy. Była złotowłosym aniołem, przybyszem znikąd, który odkrył jego Dar i zaakceptował ten fakt z miłością. To ona wspierała go w chwilach załamania, koła ból i uczyła samokontroli. Zadrzał na myśl o losie, jaki spotkałby go, gdyby nie jej pomoc. Może spłonąłby we własnym łóżku, śniąc kolejny z koszmarów, a może zmieniłby się w zlobotomizowaną roślinę. Albo zaśliniony błąkał się po ulicach do chwili spotkania z najbliższym patrolem.

Wchodząc na pusty o tej porze peron rzucił okiem na ciekłokrystaliczną tablicę informacyjną, zawieszoną na jednej ze ścian. Minął kwadrans po północy. Za godzinę spotka swego anioła.

Uśmiechnął się ponownie.

* * *

Ludzie ze służby bezpieczeństwa gubernatora nie tracili czasu. Dostęp do całego poziomu został zablokowany dziesięć sekund po ich wejściu do budynku. Część ekipy przeszukała biura, posługując się przenośnymi detektorami ruchu, reszta pobierała w tym czasie odciski palców w pomieszczeniu centralnego terminala. Ciało dyrektora Revena leżało w miejscu, w którym znalazł je strażnik. Agenci nie znaleźli śladów krwi ani zewnętrznych obrażeń sugerujących przyczynę śmierci. Jeden z nich przykrył w końcu białym prześcieradłem wykrzywioną w agonialnym grymasie twarz szefa ochrony. Do noszonych przez agentów komunikatorów sączył się gwar beznamiętnych głosów:

- Zawartość twardego dysku usunięta.
- Uszkodzone wszystkie kamery w korytarzu siódmym i na schodach.
- Jak przeszedł obok strażników?
- W grafiku jest kwadrans luki co godzinę, to mu wystarczyło.
- Ktoś straci za to głowę. Już stracił.
- Odciski palców zweryfikowane, wszystkie należą do dyrektorów Blossoma i Revena oraz do asystentek.
- Areszt domowy dla wszystkich podejrzanych.
- Na linii gubernator, chce wiedzieć, jak nam idzie?
- Spław go.
- Próbowałem, jest uparty.
- Połączę się z nim za kwadrans na kanale trzecim. Rejestry wideo nieodwracalnie uszkodzone. We wszystkich kamerach intruz stopił w jakiś sposób taśmy.
- Przypalił je?
- Pojęcia nie mam, obudowy są nietknięte, a w środku popiół.
- Dwójka, co z odczytem rejestratora dźwięku?
- Jest zapis z ostatnich dwóch godzin! Porównujemy wzorce, trochę to potrwa, terminal się nie wyrabia.
- Złotemu Tronowi dzięki, kończymy robotę. Jak przemieście zapis, puszczaćcie transmisję do prefektury.
- Tu Trójka, odtwarzam dane usunięte z kopii zapasowej. Terminal centralny będzie gotowy do pracy za dwadzieścia minut. Dlaczego zabójca wykasował listę kontraktów handlowych z Verghastem?
- Może to element rozgrywek między gildiami kupieckimi. A może się pomylił i wymazał nie te dane.
- W terminalu dyrektora Blossoma są wyłącznie rządowe umowy handlowe i informacje finansowe. Jeśli wszedł właśnie do tego biura, musiał wiedzieć, co znajduje się w komputerze.
- Znajdźmy go, a wszystkiego się dowiemy.

* * *

- Zidentyfikowali zabójcę. - Szeryf Dexter upuścił bezprzewodową klawiaturę na blat biurka i chwycił płaszcz przewieszony przez oparcie fotela. - Lev Sermon, technik trzeciego stopnia. Operator terminala logistycznego w sekcji korporacyjnej 12A. Mieszka w podmiejskim habitacie 14B/7.

- Stopień poprawności identyfikacji? - sędzia Creed spojrzął na ekran monitora.

- Sto procent. Zdołał uszkodzić system monitoringu wizualnego i wykasować rejestry, ale nie wiedział o drugim systemie zabezpieczeń. Na poziomie zastrzeżonym kompleksu pracuje niezależny od centralnego system rejestracji dźwięku, zainstalowany przez ludzi ze służby bezpieczeństwa. To poufna dyrektywa gubernatora, obowiązująca we wszystkich rządowych obiektach.

- Na czym oparto identyfikację?

System zarejestrował w godzinach nocnych dwa męskie głosy. Jeden należy do dyrektora Revena, drugi do Sermona. Po instalacji podsłuchu pobrano bez wiedzy pracowników obiektu próbki ich głosów i umieszczono w centralnej bazie danych. Terminal porównał nocny zapis z wzorcami. Pomyłka jest wykluczona.

- Zdejmujemy go, natychmiast. Imperator jeden wie, czy będzie jeszcze w domu.

- Zabiorę sekcję proktora Santera i wóz patrolowy...

- Poczekaj. - Sędzia ruchem dłoni wstrzymał stojącego w drzwiach arbitratora i włączył stojący na biurku interkom. - Mówi Mikael Creed. Alarm czerwony dla sekcji patrolowej w obszarze habitatów zewnętrznych B. Adres 14B/7. Cel: Lev Sermon. Dokonać natychmiastowego aresztowania. Strzelać w razie ostateczności, ale nie zabijać. Wykonać.

- Potwierdzam rozkaz - w interkomie zatrzeszczał anonimowy głos oficera dyżurnego. - Godzina pierwsza trzydzieści. Alarm czerwony dla habitatów B. 14B/7, obywatel Lev Sermon. Pozwolenie na ograniczone użycie broni.

Sędzia spojrzął na trzymającego za klamkę drzwi szeryfa.

- Patrol znajdzie go pierwszy. Przejmiesz więźnia i odstawisz do prefektury. Odizoluj go od funkcjonariuszy, najlepiej wsadź w kaftan i załóż knebel. Nie wypełniaj żadnych formularzy bez mojej zgody. Jasne?

- Tak jest, sir!

* * *

Czekała cierpliwie, tak jak obiecała. Kiedy zamykał za sobą drzwi, usłyszał jej ciche kroki. Choć w mieszkaniu panował półmrok, oczy dziewczyny błyszczały podekscytowaniem.

- Zrobione - oparł się plecami o drzwi i posłał jej zmęczony uśmiech.

- Tak jak ci kazałam? - upewniła się, odrzucając za ucho niesforny kosmyk jasnych włosów.

- Był problem. Ktoś mnie odkrył. Musiałem... musiałem go powstrzymać...

- Zabiłeś go? - Dostrzegł, jak koniuszkiem języka przeciąga po wargach.

- Uderzyłem tak jak mnie uczyłaś, ale to było zbyt mocne. Nie wytrzymał i...

- Ciii... - położyła wskazujący palec na jego ustach - Zrobiłeś to dla mnie. On był nic niewartym śmieciem. Już nam nie zagrozi. Teraz stracili listy obdarzonych Darem. Będziemy wolni i bezpieczni, Lev. Przeszedłeś pierwszą próbę, kochanie, została jeszcze jedna.

- Jaka próba?

- Twój Dar to ukryte błogosławieństwo. Musisz go w pełni wykorzystać, a staniesz się potęgą. Nauczę cię jeszcze wielu rzeczy, kochany.

- Seleno, nie wiem, czego ode mnie oczekujesz, ale nie czas teraz na rozmowy. Musimy wyjechać z miasta, przeczekać kilka miesięcy na prowincji...

- Wpierw jeszcze jedna próba. Moc już na ciebie czeka, a z nią władza i siła. Musisz tylko się na nią otworzyć. Ja pokażę ci Jak to zrobić, i już zawsze będziemy razem, ty i ja.

Chciał coś powiedzieć, ale nie pozwoliła na to, zamykając mu usta pocałunkiem. Poczł charakterystyczny odurzający zapach jej skóry, dziwnie przywodzący na myśl cynamon. Wsunął lewą dłoń w jedwabiste włosy, prawą ręką objął ją w pasie. Stracił poczucie czasu i miejsca.

* * *

Pomalowany na niebiesko wóz patrolowy zjechał z obiegającej metropolię obwodnicy i przemknął przez wąskie i brudne uliczki robotniczego osiedla. Kręcący się na chodnikach młodzi mężczyźni odwracali głowy na widok arbitratorów, niektórzy pośpiesznie znikali w bramach habitatów.

- Hołota znowu panoszy się na ulicach - warknął ciemnoskóry posepny kierowca, arbitrator Veer - Gubernator powinien ich deportować na Księżyc, w kopalniach zawsze znajdzie się robota.

- Okaż trochę miłosierdzia - proktor Carr stukał palcami w boczną szybę wozu. - Ostatnimi czasu gangi spokorniały.

- Od wizyty ekipy Santera. Żałuję, że mnie z nimi nie było. Proktor Santer wie...

- Milcz, Veer. Przeciągasz strunę - Carr oderwał wzrok od chodnika i spojrzął spod przymkniętych powiek na podwładnego. - Funkcjonariusz Santer powinien codziennie modlić się w bazylice, dziękując Imperatorowi za łaskę, jaka go spotkała tamtego dnia. To cud, że tłum nie rozerwał go na strzępy po tej publicznej egzekucji.

- Karą za podniesienie ręki na oficera Adeptus Arbites jest śmierć - wycedził z hardą miną Veer. - Proktor Santer doskonale wie...

- Masz dwa dni karnej służby porządkowej, Veer. Wiesz dobrze, że tym kamieniem rzuciła dwunastoletnia dziewczynka. Podczas pucowania kibli będziesz śpiewał psalm trzydziesty siódmy "Panie, napełnij mą duszę pokorą". Wyraziłem się jasno?

- Tak jest, sir!

- Habitat 14B/7 jest ulicę dalej. Zaparkuj tutaj. Wysiadamy. Stirvo i Jaret biorą śrutówki, reszta pistolety i młot pneumatyczny. Jeśli będzie stawiał opór, możemy go uszkodzić, ale bez przesady.

* * *

Zbudził go cichy szum wody. Przez chwilę patrzył zdezorientowany w ciemność pokoju, próbując zebrać myśli. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że dźwięk dobiega z łazienki. Przynic. Przetarł palcami oczy i usiadł na łóżku. Cyfrowy wyświetlacz budzika wskazywał drugą w nocy. Zmeł w ustach przekleństwo i zerwał się na nogi, sięgając po koszulę.

- Selena! Wychodź! Musimy uciekać!

Wrzucając do torby zapasowe ubrania dostrzegł kątem oka ruch w drzwiach łazienki. Dziewczyna stała w progu naga, jej mokra skóra połyskiwała w sączącym się przez rozsunięte żaluzje słabym blasku ulicznych neonów.

- Spokojnie, kochanie. Przyszedł czas próby.

- Jakiej próby? - Lev poczuł gwałtowną irytację. - Ubieraj się!

- Oni już tutaj idą, mój drogi - Selena uśmiechnęła się promiennie. - Nie czujesz tego?

Na czole mężczyzny skropił się zimny pot. Przymknął na chwilę oczy, jakby nasłuchiwał. Kiedy ponownie je otworzył, na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. I wściekłości.

- Och ty...

- Nie. Nie zdradziłam cię - Selena uniosła ręce w geście zaprzeczenia. - Kocham cię, Lev i wiem, że stawisz im czoła. Pamiętaj o tym, co ci powiedziałam. Musisz przejść próbę, okazać się godnym.

- Godnym?! Czego?!

- Władzy. Potęgi. Mojej miłości. Oni są twoimi wrogami, kochanie, dobrze o tym wiesz. Zabiją cię bez wahania za to, że jesteś inny. Ja mogę ci pomóc, ale musisz mi zaufać... - Oczy dziewczyny były nienaturalnie rozszerzone, błyszczały intensywnie w półmroku. Lev nie wierzył własnym zmysłom. Wilgotna skóra Seleny zdawała się jaśnieć, przybierając alabastrową barwę.

- Co...

Frontowe drzwi mieszkania wyleciały z futryny pośród stłumionego huku i jęku dartego metalu. Sermon schylił się, odruchowo osłaniając twarz ramieniem. W padającym z korytarza świetle jarzeniówek dostrzegł czarne sylwetki arbitratorów. Dwaj przyklęknięli, mierząc do niego ze strzelb, dwaj inni stali z pistoletami w rękach. Piąty odrzucił pneumatyczny młot, którym wybił drzwi z zawiasów i skoczył w kierunku technika z włączoną pałką wstrząsową. Lev zdążył zauważyć błękitne iskry sypiące się z głowicy broni.

- NIE!!! - krzyknął i klasnął w dłonie. Arbitrator jęknął przeciągle, kiedy podmuch powietrza poderwał go w górę i cisnął prosto w wejście do mieszkania na przeciwległą ścianę korytarza. Uderzył plecami w kompozytową okładzinę i osunął się po niej bezwładnie.

- Ognia! - ciemnoskóry funkcjonariusz o przestraszonej twarzy i złych wąskich oczach strzelił pierwszy. Lev skoczył za łóżko w tej samej chwili, gdy padła salwa. Przetoczył się w otwarte drzwi kuchni, zaciskając ręce na uszach. W zamkniętym pomieszczeniu wystrzały były ogłuszające.

- Lev! - Usłyszał ją pomimo wściekłej kanonady. Spojrzał w stronę łazienki i skamieniał.

To nie była Selena. Białoskóra istota patrzyła na niego okrągłymi fosforyzującymi oczami o kolorze czystego szmaragdu. Jej muskularne ciało ledwie mieściło się w drzwiach łazienki. Uniosła ku niemu ręce, które już nie były rękami. Nie potrafił oderwać przerażonego wzroku od wielkich szczyptic, od gładkiej czaszki ozdobionej pojedynczym wielobarwnym warkoczem. Od smagającego podłogę ogona.

- Teraz, Lev! - istota zwróciła się do niego głosem Seleny. - Musisz im stawić czoła.

- Nie! - wykrzyczał pełen bólu. - Ty nie jesteś Selena!

- Jestem nią, kochany. Zawsze byłam. Ja pragnę ciebie, a ty mnie, przecież o tym wiesz. Oni są naszymi wrogami, Lev, musimy ich zniszczyć. Pomogę ci, jeśli mnie o to poprosisz. Otwórz się na moc, o której ci opowiadałam.

- NIE!!! - Skrzyżował ręce w obronnym geście.

Istota zniknęła w głębi łazienki, jakby uderzył ją gigantyczny młot, jarzeniówki na korytarzu wybuchły, siejąc panikę wśród arbitratorów. Kiedy zdezorientowani spojrzeli za plecy w poszukiwaniu źródła nagłego hałasu, Sermon wskoczył do pokoju. Podarte ubranie wisiało na nim w strzępach, krew ciekła z licznych zadrapań. Złożył dłonie palcami i wycelował je w arbitratorów. Dwaj policjanci zdążyli tylko przeraźliwie krzyknąć. Nieludzki skowyt urwał się w połowie, gdy ich ciała wybuchły od środka, rozbryzgując tkanek, krew i kawałki kości po ścianach pokoju.

Wiązka lasera trafiła Sermona w udo, przepaliła na wylot spodnie i mięśnie. Nawet tego nie poczuł, przesycony skondensowaną mocą. Strzelec, ciemnoskóry arbitrator z naszywką Veef na piersi, zawahał się na ułamek sekundy.

- NIE!!! NIE!!! NIE!!! - Lev wrzasnął na całe gardło, czując jak niewidzialny ogień wypala mu umysł.

Policjant wybałuszył oczy i podniósł pistolet w górę, jakby chciał mu się przyjrzeć. Na jego twarzy pojawił się wyraz skrajnego przerażenia. Nie odrywając wzroku od broni, powolnym ruchem włożył sobie jej lufę do ust. Po czole ściekały mu wielkie krople potu.

- TAK! - Arbitrator pociągnął za spust i jego potylicą znikła pośród krwawej mgiełki. Trup runął na ziemię niczym worek śmieci. Ostatni funkcjonariusz zaczął wyć niczym katowany pies. Cisnął strzelbę pod nogi, skoczył w kierunku drzwi. Lev zagryzł do krwi wargi i machnął dłonią w kierunku mężczyzny. Wielki metalowy stół przemknął w powietrzu i uderzył w policjanta, przyciskając go do ściany. Chrupnął pękający kręgosłup.

Zapadła nagle cisza dzwoniła w uszach mężczyzny. Usłyszał odległe wycie syren, płacz dzieci, przerażone krzyki wyrwanych ze snu sąsiadów. Szum ciągle płynącej z prysznicza wody. Odgłos kroków.

- Wspaniale, mój kochany. Wiedziałam, że tego dokonasz. - Istota nosząca imię Seleny stała w drzwiach łazienki. - Teraz chodź ze mną, uciekajmy stąd.

- Oszukałaś mnie. Nie jesteś Seleną. Odeślę cię tam, skąd przyszedłeś - wymamrotał i przyłożył dłonie do skroni.

- Nie zdołasz tego zrobić - demonica uśmiechnęła się lekko, przesunęła wąskim językiem po drobnych ostrych ząbkach. - Śmiertelnik nie może mnie skrzywdzić.

- Odejdź, odejdź, odejdź...

Istota zwana Seleną zachwiała się, pochyliła. Drwiący uśmiech zniknął z jej ust. Jęknęła przeciągle.

- Nie rób mi tego, kochanie. To boli!

- Odejdź precz! ODEJDŹ PRECZ!!!

Szeryf Dexter wyskoczył z policyjnego transportera na ułamek sekundy przed wybuchem. Zewnętrzna ściana mieszkania 14B/7 wyleciała w powietrze z ogłuszającym hukiem, kula białego ognia przyćmiła na moment blask ulicznych świateł. Arbitratorzy padli na ulicę, zasłaniając głowy rękami, grad odłamków zabębnił o ich hełmy i pancerz Castigatora.

- Najświętszy Panie - jęknął z niedowierzaniem szeryf. - Co oni tam zrobili?

* * *

- Nasi ludzie zginęli, nie ma śladu po Sermonie! Pół piętra wyleciało w powietrze, ciągle wyciągamy spod gruzów mieszkańców. Co? Nie, liczba ofiar nie jest znana. Mamy na razie siedemnastu zabitych, rannych nikt nie liczy! Potrzebuję wsparcia! Trzeba ogrodzić teren, przeszukać rumowisko! Tak!... Nie! Czterdziestu funkcjonariuszy nie wystarczy! Tak jest, sir! - szeryf Dexter rzucił słuchawką modułu łączności w burtę transportera.

Na Oko Terroru! Co tutaj się stało? - Słyszając jego warknięcie, młody arbitrator wzruszył niepewnie ramionami i pośpiesznie oddalił się w przeciwnym kierunku, próbując odpędzić gapiów. Dexter nie zwrócił na niego uwagi. Kopnął ze złością kawał betonu i ruszył w stronę gruzowiska.

* * *

Wysoki mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce przemierzał niewzruszenie pokój sędziego Creeda. Od ściany do ściany, krok po kroku tam i z powrotem. Sędzia obserwował go spod oka, ale kamienna twarz mężczyzny nie zdradzała żadnych uczuć.

- Niedobrze, Creed. Trzeba było wstrzymać aresztowanie do czasu mojego przybycia.

- Zwłoka groziła poważnymi konsekwencjami, sir.

- Wiem. Tylko dlatego siedzisz jeszcze w tym fotelu, sędzio.

- Zapewniam...

- Zapewnienia są zbyteczne. Popełniłeś błąd, ale puszcę to w niepamięć przez wzgląd na twoje zasługi dla prefektury i Imperium. Kto objął nadzór nad akcją w dzielnicy B?

- Szeryf Dexter. To...

- Powiadom go o moim przybyciu. Uświadom konieczność pełnej współpracy. Musimy znaleźć Sermona, Creed. Mam niejasne podejrzenia, że gra toczy się o wysoką stawkę. Mniejsza z tajnymi kontraktami rządu. Ten człowiek stanowi dużo poważniejsze niebezpieczeństwo. Znał zabezpieczenia obiektu, hasła, kody dostępu. Rozumiesz?

- Tak, ekscelencjo.

- Potrzebuję samochodu i kierowcy. Po moim wyjściu połączysz się z sekcją bezpieczeństwa gubernatora. Mają zatrzymać pracę terminalu pasażerskiego w kosmoporcie. Monitorować wszystkie osoby

zamierzające odlecieć z miasta. Zbierz wszystkich ludzi z posterunków, również chorych, o ile mogą ustać na nogach. Będziemy musieli przeczesać dzielnicę podmiejską, dom po domu. Nie przerwiemy akcji, dopóki nie znajdziemy Sermona albo jego ciała.

- Tak jest, ekscelencjo.

- Co z garnizonem PDF?

- Major Torell ma pod sobą siedem tysięcy żołnierzy. Czekają w koszarach na rozkazy.

- Wydać im broń, przygotować do wyjazdu ciężarówkę. Wybuch w habitacie 14B/7 miał miejsce trzy minuty temu. Sermon będzie potrzebował pół godziny, żeby dotrzeć do granic metropolii. Nie może przejść przez kordon. Część arbitratorów rzuć do przeszukiwania miasta, resztę razem z żołnierzami ustaw wokół dzielnic podmiejskich. Jeśli Lev nie wpadnie na nich do dwóch godzin, zaciśniemy pętlę, idąc w kierunku centrum.

- Tak jest, ekscelencjo.

- Creed... jeśli ten człowiek nam ucieknie, obaj będziemy musieli odbyć długą podróż na Talasa Prime.

Czy zdajesz sobie sprawę z konsekwencji takiej wycieczki?

Na beznamietnej dotąd twarzy sędziego pojawił się ledwie zauważalny grymas strachu, który niemal natychmiast znikł.

- Nie będzie takiej potrzeby, inkwizytorze - wycedził przez zęby Creed. - Walory turystyczne Talasa Prime zupełnie mnie nie pociągają.

- Bardzo mnie cieszy twój optymizm, sędzio.

* * *

Początkowo żaden z przeszukujących habitaty 14B arbitratorów nie zwrócił uwagi na noszącego czarną skórzaną kurtkę człowieka, stojącego na ulicy po drugiej stronie policyjnych barier. Nieznajomy w zamyśleniu obserwował zrujnowane piętro budynku, wodząc wzrokiem po pozostałościach frontowej ściany mieszkania numer siedem. Kiedy schylił się i przeszedł pod barierką, jeden z młodszych arbitratorów natychmiast doskoczył do niego i zatrzymał ostrzegawczym dotknięciem pałki. Na widok złowieszczego zmrużonych oczu mężczyzny słowa uwieźły policjantowi w gardle, jego ręka machinalnie powędrowała na kaburę pistoletu.

Szeryf Dexter dostrzegł kątem oka ten incydent i ruszył pośpiesznie w kierunku podwładnego. Nim jednak zrobił dwa kroki, w dłoni intruza pojawił się jakiś dokument, bezceremonialnie rozłożony tuż przed nosem funkcjonariusza.

Gotowa do użytku pałka wypadła z ręki zaskoczonego arbitratora. Podniósł ją szybko i wymamrotał jakieś niezrozumiałe przeprosiny, po czym odwrócił się szukając wzrokiem szeryfa. Mężczyzna w czerni minął go bez słowa i podszedł do Dextera.

- Pan tutaj dowodzi, szeryfie?

- Tak. Zostałem uprzedzony o pańskim przyjeździe.

- Doskonale, zatem przejdźmy do sedna sprawy. Czy ewakuowaliście mieszkańców habitatów?

- Tak, sir. Być może jakieś ciała leżą jeszcze pod gruzami, właśnie porównujemy spis zabitych i rannych z rejestrem przysłanym z magistratu...

- Umarli mnie nie interesują, szeryfie. Nie znaleźliście śladu Leva Sermona?

- Tylko szczątki rzeczy osobistych... i ciała funkcjonariuszy mających go aresztować.

- Jak zginęli?

- Nie sposób udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Sermon pozostawił w mieszkaniu silny ładunek wybuchowy, który eksplodował w chwili interwencji patrolu i rozerwał ich wszystkich na strzępy. Mieliśmy kłopoty z identyfikacją tożsamości...

- Przykro mi z powodu śmierci pańskich współpracowników, szeryfie. Tym więcej starań musimy dołożyć, aby schwycić ich zabójcę. Sędzia Creed zapewne poinformował pana o moich pełnomocnictwach?

- Tak, sir.

- Proszę zatem stosować się do moich poleceń. Wszyscy funkcjonariusze mają w trybie natychmiastowym opuścić habitat. Przejdźcie na drugą stronę ulicy i czekajcie na dalsze rozkazy.

- Ale... - Dexter zmarszczył czoło.

- Szeryfie... - powiedział z wyrzutem mężczyzna w czarnej kurtce.

- Przepraszam, sir. Tak jest, sir.

Kiedy ostatni arbitrator niemal pędem opuścił habitat, inkwizytor wszedł na korytarz wiodący do pokoju numer siedem. Przez chwilę stał w półmroku rozjaśnionym słabym blaskiem neonów, wpadającym z

zewnątrz przez wyrwę we frontowej ścianie budynku. Nasłuchiwał kilka sekund, zrobił krok do przodu. Pod jego butami zazgrzytał gruz i odłamki rozbitych lamp jarzeniowych. Zamykając oczy przeszedł wolno wzdłuż korytarza, przesuując prawą dłoń po ścianie. W progu mieszkania ponownie przystanął, wciągnął do nozdrzy powietrze, jakby węsząc. Pośród zaścielającej podłogę grubej warstwy pyłu i brył kompozytu dostrzegł resztki zniszczonych mebli, rozerwane rury kanalizacyjne i fragmenty instalacji elektrycznej. Jego uwagę przyciągnął dźwięk kapiącej jednostajnie wody. Przeszedł przez rumowisko, obserwując uważnie pęknięcia na suficie, świadom faktu, iż nadwierzony strop może w każdej chwili runąć mu na głowę.

Woda utworzyła niewielką kałużę w rogu mieszkania. Analizując położenie resztek ścian działowych doszedł do wniosku, że stoi w miejscu zniszczonej wybuchem łazienki. Wystający z podłogi koniec rury wodociągowej sprawiał wrażenie stopionego, ale woda wciąż się z niego sączyła słabym strumykiem. Kałuża miała dziwny kolor, ciemny, matowy. Spojrzał na kikut rury, ale kapiąca z niego woda była czysta. Przykucnął, przeciągnął palcami dłoni po podłodze, odgarniając warstwę kurzu. Łazienkowe kafelki pokryte były cienkim, smolście czarnym nalotem. Zdrapał go palcem wskazującym, powąchał. Osad miał zapach cynamonu.

Na twarzy inkwizytora pojawił się grymas niepokoju. I niedowierzania. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął z niej niewielką szklaną fiolkę, wypełnioną granatowym płynem. Wypił zawartość naczynia, zgniótł je obcasem buta i usiadł ze skrzyżowanymi nogami na podłodze. Zamknął oczy, zaczął mrużyć coś śpiewnie. Jego głos to cichł, to przybierał na sile, ale zniemacka urwał się w pół inkantacji. Z nosa inkwizytora pociekła strużka krwi. Poblądły, otworzył oczy i zacisnął palce na skroniach, masując je intensywnie przez długą chwilę. Wytrzeł krew i wstał, na jego twarzy malował się wyraz posępnej determinacji.

Szeryf Dexter zauważył, że mężczyzna w czerni złapał za framugę wyjściowych drzwi habitatu, jakby stracił na ułamek chwili równowagę. Jakby podparł się dziwnie wyczerpany.

Widząc skinienie inkwizytora, oficer podszedł do niego bez namysłu.

- Wasza praca tutaj dobiegła końca, szeryfie - powiedział łowca czarownic. - Jeszcze tylko jedno zadanie. Ściągnijcie tu cysternę z petrolium, wpompujcie je do habitatu i spalcie cały budynek aż do fundamentów.

- Sir, pożar może przenieść się na sąsiednie budynki - zaprotestował zaskoczony Dexter. - A jeśli moi ludzie przeoczyli jakieś ślady...

- Kiedy spalicie habitat, wyrównacie gruzы buldożerami. Ma tu pozostać wyłącznie goła ziemia.

- Tak ekstremalne procedury wymagają uzasadnienia...

- Moje polecenia nie wymagają żadnego uzasadnienia, jedynie natychmiastowego wykonania. Szeryfie, czy odmawia pan przyjęcia rozkazu od przedstawiciela Inkwizycji?

- Nie, sir - w oczach Dextera pojawił się błysk strachu. - Przepraszam.

- Szybko się pan uczy, szeryfie. Oby tak dalej, a nic nie zagrozi pana obiecującej karierze. Odejść.

* * *

O godzinie czwartej rano wojskowy kordon otaczający metropolię wszedł do podmiejskich dzielnic. Każdej drużynie żołnierzy towarzyszył policjant. Ciszę przedświtę przerwał warkot silników, dźwięk wyłamywanych drzwi, krzyki budzonych brutalnie ludzi. Przeszukiwano systematycznie wszystkie habitaty, mieszkanie po mieszkaniu, pokój po pokoju. Kilkudziesięciu protestujących przeciwko najściu robotników dotkliwie pobito i aresztowano pod zarzutem zakłócania porządku publicznego.

W habitacie D/21 grupa młodych ludzi otworzyła do żołnierzy ogień z broni krótkiej, broniąc dostępu do nielegalnej wytwórni narkotyków. Grupa specjalna Adeptus Arbites spacyfikowała laboratorium, rekwirując wyposażenie oraz uśmiercając czternastu gangsterów i trojkę przypadkowych przechodniów. Do wymiany ognia zainicjowanej przez zaskoczone niespodziewanym nalotem młodzieżowe gangi, doszło również w blisko tuzinie innych miejsc. Wszędzie tam do akcji wkraczały natychmiast policyjne grupy specjalne. Ciała zabitych poddawano próbie identyfikacji w miejskiej kostnicy, po czym odsyłano do publicznego krematorium.

Znalezioną u osób cywilnych nie zarejestrowaną broń konfiskowano na podstawie odręcznych mandatów i przekazywano ekipom ładującym nielegalny arsenał na ciężarówkę. W czasie akcji zlokalizowano cztery pozbawione autoryzacji medycznej burdele, wytwórnię alkoholu i dwa warsztaty złodziei samochodów. Do prefektury wysłano ponad czterysta osób pozbawionych zameldowania, głównie zbiegłych robotników kontraktowych z kolonii górniczej korporacji NorthPol.

Pomimo zaangażowania w poszukiwania siedmiu tysięcy żołnierzy sił obrony planetarnej i półtora tysiąca arbitratorów, w obrębie podmiejskich habitatów nie znaleziono śladu Leva Sermona. O godzinie dziewiątej kierujący operacją major Torell przekazał sędziemu Creedowi wiadomość, że jego pododdziały zacisnęły pętlę wokół miasta.

* * *

Kiedy szok minął, odezwała się rana postrzałowa nogi. Przez całą noc przemykał kulawym krokiem wśród habitatów, nasłuchując ze strachem wycia policyjnych syren. Kilkakrotnie omal nie wpadł na kolumnę wojskowych ciężarówek pędzących gdzieś na peryferie podmiejskich dzielnic. Domyślał się, że ta niezwykła aktywność wojska jest w jakiś sposób powiązana z jego osobą, ale nie pojmował jej sensu. Nie miał ochoty myśleć. Bolało go całe ciało, bezustannie ocierał rozpalone gorączką czoło. Instykt samozachowawczy zabójcy walczył z chęcią położenia się na chodniku i zaśnięcia. Gorszy od fizycznych obrażeń był jednak inny ból. Jeszcze nigdy Lev nie czuł się tak zdradzony i osamotniony. Selena. Wspaniała, kochana, czuła Selena, dar niebios, jego druga połowa. Okazała się ułudą, potworem z koszmarnych snów dzieciństwa. Łzy żalu i upokorzenia ciekły po policzkach Sermona, żłobiąc bruzdy w grubej warstwie brudu. Otepiały i zrozpaczony krążył po cuchnących zaułkach, objając się o ściany odrapanych budynków i sterty kartonowych śmieci.

Jakieś przeczucie kazało mu zachować ostrożność przy opuszczaniu bezpiecznego mroku habitatów. Niczym ścigane zwierzę wspiał się cicho po drabince przeciwpożarowej najbliższego habitatu i podpełzł do krawędzi dachu. Trawiasta równina sięgająca odległych Gór Smoczycych była przegrodzona metalowym kordonem. W blasku zawieszonych na pakach ciężarówek szperaczy poruszały się setki czarnych sylwetek. Snopy jaskrawego światła przeczesywały odkrytą przestrzeń pomiędzy miastem i kordonem, wzajemnie się przenikając. Sermon jęknął w duchu.

Spojrzał z nadzieją w obie strony, ale nigdzie nie dostrzegł luki w szeregach myśliwych. Przez moment walczył z pokusą podjęcia ryzyka. Gdy wyszukiwał wzrokiem miejsce leżące na granicy zasięgu dwóch sąsiednich reflektorów, dostrzegł dziwną furgonetkę. Na jej dachu obracała się powoli półokrągła czasza. Samobieżny detektor ruchu! Opadł na metalową powierzchnię dachu nie bacząc na ziębiące nagie plecy płyty, zamknął oczy. Bezpieczne dotąd miasto zdawało się osaczać go teraz ze wszystkich stron, grozić mu złowieszczym kształtem wieżowców metropolii.

Kosmoport! Choć głos rozsądku podpowiadał mu, że port również będzie obstawiony, uczeplił się ostatniej szansy niczym rozbitek kawałka deski. Zszedł z dachu i zawrócił w głąb miasta. Kilkadziesiąt minut później wojskowy kordon ruszył śladem nieświadomego zbiega, który w tym czasie pozbawiał ubrania jakiegoś pijanego włóczęgę, drzemiącego spokojnie w kartonowym domku.

* * *

Uwagę funkcjonariusza Mastaby zwrócił sposób, w jaki włóczęga trzymał brudny podróży worek. Obdartus przyciskał go do piersi w geście zagubienia i niepewności, niczym talizman dający poczucie bezpieczeństwa. Arbitrator przystanął za jedną z latarni promenady i wyjął zza pasa pałkę wstrząsową. Przez moment zastanawiał się, czy wezwać wsparcie, ale schował radiotelefon z powrotem do pokrowca. Reszta prefektury krążyła po mieście w poszukiwaniu terrorysty-piromana i szeryf nie pogłaskałby go po głowie za zaangażowanie innych funkcjonariuszy do zatrzymania jakiegoś śmierdzącego kłoszarda. Z palcem wskazującym na włączniku broni podszedł od tym do rozglądającego się niepewnie mężczyzny i chrząknął donośnie.

Z brudnej twarzy spojrzały na niego płonące gorączką, przekrwione oczy. Mastaba cofnął się o krok i pociągnął nosem. Nie czuł zapachu alkoholu ani odoru niemytego ciała, ale włóczęga sprawiał wrażenie bardzo chorego. Arbitrator nie miał zamiaru złapać żadnego syfa trawiącego bezdomnych zamieszkujących peryferia miasta. Cofnął się jeszcze o krok i zmarszczył czoło w wystudowanym władczym grymasie.

- Bezdomnym nie wolno wchodzić do centrum, czego tu szukasz?

Włóczęga nie odpowiedział, zamrugał tylko nerwowo.

- Jesteś głuchy? Jak się nazywasz? A może coś ukradłeś? Co tam masz w worku?

Widząc ruch ręki policjanta, mężczyzna odskoczył do tyłu w dziwny sposób, jakby kulał na jedną nogę.

- Doigrałeś się, gnojku - warknął poirytowany arbitrator i wysunął przed siebie pałkę. Kiedy jej obły wierzchołek dotknął piersi włóczęgi, Mastaba wduślił przycisk na uchwycie.

Powracając do zdrowia w szpitalu prefektury, funkcjonariusz Mastaba często zastanawiał się nad przebiegiem spotkania z włóczęgą. Przegląd techniczny jego pałki nie wykazał żadnych usterek tłumaczących nieoczekiwaną reakcję zwrotną mechanizmu wstrząsowego. Chociaż uchwyt broni zaprojektowano aby chronił właściciela przed przypadkowym porażeniem, w chwili uaktywnienia pałki silny ładunek elektryczny przeszył ciało policjanta powalając go na ziemię i niszcząc obwody radiotelefonu.

Arbitrator podniósł się chwiejnie z chodnika, przewrócił ponownie, podpełzł do rynsztoka i wymiotował. Kiedy jacyś przechodnie pomagali mu wstać, po włóczędze nigdzie nie było już śladu.

* * *

- Sir, niezidentyfikowany napastnik obezwładnił funkcjonariusza Adeptus Arbites dwie przecznice od kosmoportu! - Kierowca spojrzął na, zajmującego tylne siedzenie limuzyny mężczyznę. - Załatwił go jego własną pałką na promenadzie i zbiegł.

- To druga ulica na prawo stąd. Wysadź mnie! Samochód wymusił pierwszeństwo na jadącym sąsiednim pasem wozie i zatrzymał się przy krawężniku. Inkwizytor wyskoczył z kabiny, włożył ręce do kieszeni kurtki i pośpiesznym krokiem zaczął przedzierać się przez maszerujący chodnikiem tłum.

Omów nie przeoczył zbiega. Sermon przystanął na moment w cieniu rzucanym przez daszek sklepu i łowca czarownic ledwie zauważył go kątem oka. Brudne podarte ubranie i kulawy chód to amatorski, ale skuteczny kamuflaż, uznał niechętnie inkwizytor. Zachowując bezpieczny odstęp od poszukiwanego, porównał jego rysy twarzy z ukrytym w dłoni zdjęciem, by zweryfikować tożsamość włóczęgi. Tak, to był bez wątpienia Lev Sermon. Łowca sięgnął po miniaturowy komunikator i wydał ciche zwięzłe rozkazy.

Castigator nadjechał w ciągu niecałych trzech minut. Kiedy szczęknęły włązy transportera i arbitratorzy zaczęli wyskakiwać z przedziału pasażerskiego, inkwizytor zszedł z chodnika na jezdnię. Policjanci ruszyli jego śladem, zbliżając się do nieruchomego mężczyzny w obdartym ubraniu, śledzącego ich ruchy zmrużonymi oczami.

Sermon położył na chodniku swój podróżny worek i rozejrzał się wokół. Poczł ukłucie strachu. Jakies sto metrów za jego plecami dwa policyjne transportery opancerzone wjechały z chrzęstem gąsienic na skrzyżowanie, blokując ulicznynch. Wzdłuż opustoszałej nagle ulicy rozległ się szcęk zamykanych drzwi i sklepowych witryn. Wysoki mężczyzna w czarnej kurtce skrzyżował na piersiach ręce i pokiwiał niedbale głową.

- To koniec, Lev - powiedział.

- Jakże mam wyjścia? - zapytał Sermon.

- Możesz dalej uciekać. Ci funkcjonariusze cię zaaresztują, ty stawisz im opór, a ja będę musiał interweniować.

- Jak się domyślam, będzie to interwencja ze skutkiem śmiertelnym.

- Oni jeszcze nic nie wiedzą, Lev. Myślą, że jesteś zwykłym mordercą i złodziejem, zabójcą policjantów. Gdybym im dał wolną rękę, pewnie zastrzeliliby cię bez sądu za moimi plecami, ale nie mogę podjąć takiego ryzyka. Jesteś zbyt niebezpieczny dla otoczenia, sam o tym wiesz.

- Możesz przedstawić swoją ofertę, inkwizytorze.

- Poddasz się, a ja założę ci kajdanki i pójdziemy sobie razem, nie przeszkadzając dłużej zapracowanym stróżom prawa.

- Nie ma mowy. Słyszałem o waszych Czarnych Arkach - zbieg splunął na chodnik.

- Przez myśl mi nie przeszła Czarna Arka, przyjacielu.

- Łezesz jak pies, łapaczu. - Sermon błyskawicznym ruchem wyrzucił przed siebie schowane za plecami dłonie, rozsunął szeroko palce i zmrużył oczy. Fala energii pomknęła ulicą, spotęgowana ograniczającymi ją obu stron ścianami budynków. Szyby w oknach sklepów rozprysły się ha tysiące kryształowych drobin, transporter arbitratorów jęknął metalicznie, kołysząc się na resorach. Stojący za inkwizytorzem policjanci upadli na plecy, potoczyli się po ulicy ze zdławionymi okrzykami, gubiąc hełmy i broń. Kilka strzelb wypaliło samoczynnie. Mężczyzna w czerni nawet nie drgnął, tylko jego naelektryzowane włosy uniosły się w górę.

Inkwizytor poruszył lewą dłonią, jakby strzepywał z niej popiół. Ryk wichru natychmiast umilkł, chmury kolorowych śmieci i kawałków papieru opadły na chodnik, przykrywając szczątki szyb. Prerażeni arbitratorzy podnosili się na nogi, klnąc przy tym plugawie i szukając automatów.

- Brawo, Lev. Bardzo efektowna sztuczka, bardzo widowiskowa - mężczyzna zaklaskał ironicznie.

Sermon zagryzł wargi, kręcąc gorączkowo głową. Zmierzył wzrokiem odległość do najbliższej rozbitej witryny sklepowej. O jedną serię z automatu za daleko. Inkwizytor uśmiechnął się z pobłażaniem, jakby czytał w myślach zbiega.

- Nie ma ucieczki, Lev. Tylko śmierć albo kapitulacja.

- Zatem na jedno wychodzi - Sermon poczuł rosnącą furię. Ten uśmiech, ten przekłety drwiący uśmiech na ustach inkwizytora doprowadzał go do szału. Nemezis w czarnej kurtce Sprawiała wrażenie myśliwego, patrzącego na złapaną we wnyki ofiarę. Choćby miał umrzeć, zetrze mu ten uśmiech z twarzy!

Nawet nie poczuł krwi ciekącej z przygryzionych ust. Jego umysł zapłonął ponownie bolesnym światłem, zdającym się spopielać neurony. Krzyknął przeciągle i wycelował czubki palców w postać inkwizytora. Na paznokciach zaczęły tańczyć białoniebieskie płomyki czystej mocy. Krzyknął jeszcze głośniej i uwolnił wypełniającą wnętrze głowy energię.

Inkwizytor nie miał prawa tego przeżyć! Nikt nie mógł przetrwać uderzenia psionicznej energii o potencjale zdolnym odesłać do Immaterium demona!

Sermon upadł na kolana i wlepił załzawione oczy w chwiejącą się na nogach postać mężczyzny w czarnej kurtce. Łowca czarownic postąpił kilka kroków do przodu, osunął się na jedno kolano, podniósł ponownie. Po jego twarzy ściekały wielkie krople potu, z nozdrzy sączyła się strużka krwi.

- Dość tego, Lev! - krzyknął zdławionym głosem. - Zrobiłeś coś, czego bardzo nie lubię.

Sermon nawet nie zauważył gestu inkwizytora. Coś uderzyło go w splot słoneczny z siłą pneumatycznego młota, uniosło w powietrze i cisnęło o chodnik. Krzyknął z bólu, bardziej słysząc niż czując łamane zebra. W głowie mu dzwoniło, ale zacisnął szczęki i podniósł się na kolana. Przez łzy dostrzegł zbliżającego się szybkim krokiem inkwizytora. Podniósł zakrwawione dłonie do skroni w rozpaczliwej próbie postawienia mentalnej blokady, ale łowca nie miał zamiaru powtarzać psionicznego uderzenia. Wymierzony ciężkim butem kopniak posłał zbiega pod ścianę sklepu, drugi połamał mu palce lewej dłoni. Sermon zwinął się w kłębek, próbując osłonić przed ciosami głowę.

- Boli cię, Lev? - wydyszał inkwizytor. - To dobrze. Ból oczyszcza duszę, uczy pokory i posłuszeństwa.

Kolejne kopnięcie omal nie złamało mu karku. Z gardła Sermona wydarł się zdławiony szloch.

- Czy chcesz umrzeć, Lev? - Inkwizytor pochylił się nad nim chwiejnie, wyczerpany mentalną blokadą. - Czy naprawdę tak bardzo zależy ci na śmierci? Odpowiedz!

Sermon pokręcił przecząco głową, splunął na chodnik krwawą flegmą. Nie zdołał wykrztusić słowa.

- Za to, co mi zrobiłeś, mógłbym cię teraz załuc jak psa, powoli i boleśnie. Jestem jednak wspaniałomyślnym człowiekiem. Dostaniesz jeszcze jedną szansę, ale nie wolno ci zawieść moich oczekiwań. Rozumiesz?

- T... ttt... tak...

- Będę wobec ciebie szczery, nieszczęsny przyjacielu. Od kilku lat poszukuję sukcesora. Ucznia. Tylko dlatego jeszcze żyjesz. Jesteś mordercą, egoistą i posiadasz szczątkowy instynkt samozachowawczy, a przy tym władasz mocą w sposób, jakiego mogą ci pozazdrościć licencjonowani mentaci. Jeśli zdołasz narzucić sobie żelazną dyscyplinę i całkowite oddanie służbie Imperium oraz bezgraniczne posłuszeństwo wobec moich rozkazów, być może uratujesz swoją biedną duszę. Wiem, co stało się w habitacie 14B/7, Lev. Nikt z posiadających Dar nie zdoła uciec przed takim losem, jeśli nie przejdzie odpowiedniego treningu. Fakt, że pokonałeś istotę zrodzoną w warpie budzi mój podziw, ale to tylko odwlekło nieuniknione. Oni upomną się o ciebie ponownie, Lev, a ja nie mogę na to pozwolić. Albo przyjmiesz moją propozycję, z wszystkimi jej konsekwencjami i obowiązkami, albo umrzesz na tej brudnej ulicy. Zabiję cię bez wyrzutów sumienia. Wybieraj.

- Z... zz... zgoda...

- Słuszna decyzja, chłopcze. Ciało można szybko uleczyć, z biegiem czasu również duszę, choć pochłonie to wiele cierpień i wyrzeczeń. Wierzę, że podołasz temu wyzwaniu. Rodząc się otrzymałeś błogosławieństwo piekiel, ale ja nawrócę cię na drogę czystości. Witaj wśród wybrańców Imperatora, Lev.

Krzysztof Bujara